Nr. 25. We Lwowie dnia 24. czerwca 1895. Rok III.

# TYDZIEŃ

Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego"

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

## „PRZY TOBIE".

»Ja będę przy tobie«.

Powiedział stanowczo, bez cienia wątpliwości. Dlaczegóż więc nie przychodzi? Patrzył na nią przenikliwym, upartym, nawskróś widzącym wzrokiem, który dobywał się z samych głębin duszy, paląc, jak żar. To wejrzenie było już »stamtąd«; już on sam cały był »tam«, nie mógł zatem majaczyć, jak pierwej, nawpół gorączkowo — czemuż więc nie przychodzi?

Oto już tydzień — nie, dziesięć dni — jak go tak bezustannie wyczekuje. Każde skrzypnięcie drzwi przyprawia ją o dreszcze; każde, chociażby najcichsze, westchnienie matki każe jej odwrócić głowę. Widzi, jak chwilami pies — stary jego ulubiony pies — nastawia uszy, podnosi pysk i bystro patrzy w okno, we drzwi, w plamy słońca odbite na ścianie. On także czeka. Goni za jego wzrokiem, wpatruje się, wsłuchuje — lecz zawsze nic i nikogo. Nocami czuwa od pierwszej, otulona w szalu, wciśnięta w wielki fotel — jego fotel, przed jego biurkiem; naokoło cisza: nie słychać nawet gwaru oddalonego miasta; wszyscy śpią w domu, nawet Roland, skręcony u nóg łóżka, wzdycha przez sen. Wsłuchuje się i czeka. Daremnie! Gdyby chociaż jedno tchnienie wiatru, jedno ułudne tchnienie, które przeniknęłoby dreszczem spodziewania! Gasi lampę — może w ciemności? Czytała niegdyś o halucynacjach spirytystów; zaczyna się to jasną, niewyraźną i bezkształtną plamą, nieuchwytną i mkliwą, jak myśl. Wpatruje się w ciemność z natężeniem. Mignęło coś? Nic — to może tylko złudzenie. Otwiera szerzej oczy. Jakieś światło, jak najwęższa nitka błyskawicy, szybsze od wszelkich błyskawic, przemknęło. Lecz to nie przed nią, nie w tej czarnej, obejmującej ją zewsząd, pustej czeluści błysło, to raczej w niej samej, w jej mózgu. Wpija się oczami i słyszy jednocześnie, jak ta przerażająca cisza szumi jej w uszach. Tak gniecie coś piersi!

Ach, oto! Nareszcie ta jasna, bezkształtna plama... Jak serce bije! Gotowa wybuchnąć płaczem, wyciągnąć ręce i wołać z całych piersi na całą tę głuchą, zmartwiałą noc. Lecz zesztywniała siedzi nieruchomo, z rękami mocno, mocno zaciśniętemi na piersiach. Oddech zastygł — czeka. I oto plama rozpływa się w ciemność, rozpływa się — już rozpłynęła... I nic, i nikogo! Ta wieczna, ta niezmącona, okrutna próżnia!

Nad ranem zmęczona pada na łóżko; często nie czuje dość sił, aby zrzucić z siebie suknie. Wpada w jakieś zapomnienie — niby sen, niby letarg — a kiedy się zbudzi, pyta samą siebie, co z nią było, gdzie była? — i po kilku chwilach mówi z bolesnym wyrzutem: »Więc nawet i nie we śnie?

Czasami — bywa to najczęściej przed południem, kiedy siada przed oknem z robotą, jak dawniej, jak bardzo dawno, gdy jeszcze był zdrów i oczekiwała jego przyjścia z miasta — otóż kiedy tak siedzi i nisko pochyli głowę nad kanwą i nic, nic zgoła, co jest w koło niej, nie widzi — zdaje się jej, że słyszy znajome stąpanie na chodniku. Tak, wyraźne stąpanie, również szybkie i lekkie, jak zawsze było. Ozwał się blok u furtki; żwir dziedzińca zaskrzypiał pod nogami. Coraz wyraźniej, coraz szybciej. Na dole drzwi się otworzyły szerokiem, znanem pchnięciem. Oto już na wschodach... Tak, tym razem się nie myli. Za chwilę tu będzie. Przejdzie pokój paru krokami i drogie usta spoczną lekko na jej włosach, jak niegdyś. Igła zatrzymała się nad kanwą, boi się uczynić najmniejszego poruszenia, nie śmie odetchnąć. Idzie, musi nadejść.

Ogarnął ją lęk zbliżającej się nieświadomości. Nie śmie odwrócić głowy, choć serce wyrywa się ku tym drzwiom, ku spotkaniu. Jakim się zjawi? Może jak upiór Grottgera stoi jasnawym, niewyraźnym, bladym cieniem — wbity u progu, na drzwiach rozpostarty?... I oczy ma takie zamknięte i rękę na piersi...

Ach, musi go zobaczyć! Odwraca szybko głowę i rozszerzone, płonące oczy wbija we drzwi.

Nic i nikogo! Ta wieczna, ta niezamącona a okrutna, a zimna próżnia!

A jednak mówił stanowczo: »Ja będę przy tobie!« W wychudłych, gorących, lekko wilgotnych palcach trzymał jej rękę i ściskał zlekka. »Ja będę przy tobie«. Czemuż więc nie przychodzi? Choćby na jedną chwilę, choćby w tchnieniu jednem, byle raz, ach Boże, raz jeszcze — mieć go tu blizko przy sobie...

Czy już jej nie rozumie? Czy nawet łkania jej nie słyszy?

Zdarzyło mu się nieraz podczas tych ostatnich piekielnych — drogich — tygodni gderać ją za opóźnione, jak mu się zdawało, lekarstwo, za niedość wygodne ułożenie poduszek. »Umyślnie mi to robisz«, — skarżył się głosem rozkapryszonego dziecka i patrzał na nią. A gdy spostrzegł, że mimo uśmiechu oczy jej szkliły się wstrzymywanemi łzami — porywał jej ręce, tulił je do piersi, do ust spalonych i szeptał tak przybity, tak znękany: »Nędznik jestem, nędznik!...« Ten szept zgnębienia i najgłębszej czułości odbierał jej wszelką moc. Upadała na łóżko, głowę mu kładła na piersi i łkała jak szalona, jak zatracona!

Czemuż nie przyjdzie? Choćby na taką jedną chwilę - na tę chwilę niewysłowionej boleści i uczucia?

»Pamiętaj, ja będę przy tobie«.

Przez cały tydzień chodziła codzień na cmentarz. Rano nosiła kwiaty, wieczorem o zmroku wymykała się z domu ukradkiem, aby ją krewni nie zatrzymali i biegła na mogiłę. Prosiła, aby go położono pod starą szumiącą brzozą. Latem liście pachną i tak z cicha, tak słodko szemrzą, w jesieni i zimą — jakby skrzydłami — długie gałęzie ochraniać będą przed burzą. Siadała pod brzozą, tuż, tuż przy mogile i dumała. Nić za nicią tkała na nowo cały swój, na wiek już zaginiony, poemat lat kilku; wszystkie jasne wspomnienia — o ciemnych nie pamiętała — jedne po drugich wstawały, płynęły ku niej, pachniały, jak kwiaty, które umierając wonieją najsilniej.

I wszystko przeszło, i nic już nie wróci...

Patrzyła na żółty piasek mogiły; oto już gdzieniegdzie młode źdźbła wyskakują; na jednem z nich kołysze się wieczorna ćma biała. Życie nowe poczęło się tu, na tym grobie! Po przez długie, powłóczyste gałązki brzozowe kilka gwiazd zamigotało u góry — to wieczność patrzy niewzruszonemi oczyma. A tam, pod tym piaskiem? Taki był cichy, poważny, uśpiony. Gdyby tak odkopać i spojrzeć? Raz jeden...

Cofnęła się; co za myśl szalona!

Gdzież ty jesteś? O Boże, Boże! Wszakżeś powiedział: »Będę przy tobie«. Bo jeśli, jak każą wierzyć, uleciał w wyżyny i spadł na łono jakiegoś bóstwa, rozpłyniony w jakiejś światłości — to cóż jej z tego? Stokroć jest dalszym, niż to — co tu, pod ziemią. Czyżby jej pozostała tylko ta garstka w głębi ziemi zgnilizny?

Zdjęła ją rozpacz taka bez granic, taka wyrzutu pełna, że nie ucałowawszy nawet piasku mogilnego, odeszła. — Nieprawda, to nie jest on! Nie chcę tego, nie mogę...

Wyszła z cmentarza i oto trzeci dzień już tam nie chodzi. Matka oczami niespokojnemi ją pyta, siostry wołają: »Pójdźmy razem« — ale ona nie pójdzie; nie może. Chyba później — kiedyś, potem, gdy on przyjdzie do niej, gdy go odnajdzie przy sobie.

Dni takie długie, bezbarwne. Przychodzą chwile, w których chciałoby się krzyczeć, chciałoby się piersi własne rękami szarpać, głowę tarzać w prochu... I potem łzy płyną nieprzerwanym, niewyczerpanym potokiem i w piersi tak boli, tak boli!

Nie wie zgoła ani co będzie robiła, ani jak nadal życie urządzić. Nie myśli o tem... Przyszła do jakiegoś kresu — ziemia nagle z pod nóg jej urwała się, runęła w jakąś przepaść i leci — pewno dna już nie dotknie. Czasem przemknie jej myśl: czy nigdy się nie zbudzi? Bo od owej okropnej, niepojętej chwili, kiedy z niej samej wydarto ją samą, chwilami zdaje się jej, że śni. Wypełnia wszystkie codzienne przyzwyczajenia, nie zdając sobie sprawy, dlaczego to czyni, ale jej myśl, jej dusza śpią, śniąc straszny, duszący sen — najstraszniejszy, bo nieodgadniony.

Lecz przedewszystkiem zaprząta ją pytanie, dlaczego nie ma go przy sobie? Czekała ciągle — teraz zaczyna go szukać. Pewnej nocy przyszło jej na myśl, że może już jest, może nawet wcale jej nie odstępował, a tylko ona znaleźć go nie umie. Zapaliła światło, wstaje, narzuca szlafrok i wsunąwszy stopy w miękkie pantofle, wychodzi do salonu. Zatrzymała się na środku. Mdłe światło nocnej lampki rozkłada wielkie cienie po kątach i na suficie; liście palm ogromnemi plamami cienia załamały się na ścianie. Chwil kilka stała nasłuchując, wpół przerażona, wpół smutna, oczekując czegoś niezwykłego. Chłód przejął ją dreszczem — odeszła. W stołowym pokoju oczy jej zatrzymały się na starych portretach. Podniosła lampkę do ich wysokości i wpatrzyła się. Stare twarze spoglądały z poczerniałych płócien — spoglądały tak wyraziście, że mogłaby rozmawiać z niemi. Miała ochotę spytać: gdzie on jest? gdzieście mi go podzieli? A oto wśród szeregu ram jedno niewielkie miejsce puste. Nazajutrz »potem« zdjęła portret i zawiesiła w jego gabinecie nad biurkiem. Musi go teraz zobaczyć, niezwłocznie, w tej chwili. Śpiesznie, bez szelestu przechodzi jeszcze parę pokojów, przedpokój i otwiera drzwi gabinetu. Tak! portret jest na swojem miejscu, nizko nad biurkiem, jakby w głąb cofnięty w wielkim wieńcu z choiny i traw leśnych. Podniosła lampkę bliziutko i wpiła się chciwie oczyma. Wprawdzie nieco jest tu innym, niż go znała, znacznie młodszym, wszakże i w tych młodzieńczych, świeżych rysach łatwo odnaleźć twarz poźniejszą. Te same oczy melancholijnie marzące, tenże półsmutny wyraz ust.

— Powiedz mi luby, jedyny — ty mój tylko jedyny na całym wszechświecie — gdzie jesteś? Dlaczego ja ciebie nie widzę, nie czuję przy sobie, choć tyle szukam? Wszakże mówiłeś: »Będę przy tobie«.

Szeptała błagalnie; kolana jej się ugięły, postawiła lampkę na biurku, uklękła i ręce złożyła.

— Jakim chcesz, kiedy chcesz, przyjdź tylko do mnie. Wszakże ty widzisz — ja już nie mogę...

Głowa pochyliła się jej na złożone ręce. Blade, nizkie światełko lampki migotało po złotych zagubach jej włosów, półcieniem, półświatłem wydłużało wysmukłą postać i fałdy sukni płynąco po kobiercu rozpostarte. Nad nią z pod cienia choiny melancholijne oczy portretu patrzyły rzewnie i usta chciały coś mówić.

(D. c. n.) *W. Dalecka*

# Zapomniane hasła.

*(Mowa Robespierre'a w sprawie powszechnego głosowania, w zgromadzeniu narodowem 25. stycznia 1790.)*

(Ciąg dalszy).

Cóż mam jeszcze dodać do tych prawd najoczywistszych? Nic, dla tych przedstawicieli narodu, których życzenia i poglądy wyprzedziły moje żądania. Winienem tylko odpowiedzieć na te smutne sofizmata, na których przesądy i ambicja pewnej klasy ludzi chciałyby oprzeć owe nieszczęsne nauki, z któremi walczę. Z nimi mam jeszcze do pomówienia.

Lud, ludzie, co nic nie posiadają! Niebezpieczeństwo korupcji! Przykład Anglji, ludów, które uważamy za wolne — oto argumenta, które przeciwstawiają sprawiedliwości i rozumowi.

Powinienbym właściwie odpowiedź moją ograniczyć do kilku słów następnych: prawa ludu, tej wielkiej masy, prawa, których jestem obrońcą, płyną z tego samego źródła, co i wasze. Któż wam dał moc, praw tych lud pozbawić? Dobro — powiadacie — powszechne! Ale czyż to, co jest nieprawne i niesprawiedliwe, może być dobrem? Czy tej odwiecznej zasady nie należy w pierwszym rzędzie stosować do ustaw państwowych? Skoro jednak celem państwa jest szczęśliwość powszechna i ochrona praw człowieka, cóż należy pomyśleć o tych, którzy szczęście to widzą w wywyższeniu jednych, a poniżeniu drugich? Któż są owi wielcy politycy, pyszniący się swym genjuszem, gdy im się zapomocą mozolnych wykrętów uda postawić swe marne twory na miejsce owych niezmiennych zasad, które odwieczny prawodawca wyrył w sercach wszystkich ludzi?

. . . . . . . . . . . . . . . . . .

Czyż odczuwacie całą wagę tego waszego świętego powołania, wy, którzy w odpowiedzi na nasze słuszne skargi, powiadacie z całym spokojem: »A jednak, pomimo swych braków, nasza konstytucja jest lepszą od innych«. Czyż 25 miljonów ludzi po to oddało swe losy w ręce wasze, abyście w tej konstytucji pozostawili owe najistotniejsze braki, które unicestwiają główne podwaliny porządku społecznego? Czy może mniemać należy, że usunięcie licznych nadużyć i niektóre pożyteczne ustawy są tylko aktami łaski, okazanej ludowi, która was uwalnia od innych czynów dla dobra ludu. Nie, wszystko dobre, coście uczynili, było waszą najprostszą powinnością. Zaniedbanie tego, co mogliście uczynić, byłoby naruszeniem obowiązku, zbrodnią obrazy majestatu narodu i ludzkości. Pójdę dalej: jeżeliście nie uczynili dla sprawy wolności wszystkiego, toście nic nie zrobili. Niema dwóch rodzajów wolności: albo się jest wolnym całkowicie, albo jest się niewolnikiem. Najmniejsza ucieczka, którą się pozostawia despotyzmowi, pozwala mu odzyskać dawną potęgę w całej pełni.

. . . . . . . . . . . . . . . . . .

Ale lud, powiadacie, ludzie, którzy nie mają nic do stracenia, będą zatem używać, tak samo jak my, wszystkich praw obywatelskich. Ludzie, którzy nie mają nic do stracenia! Co za niesprawiedliwe, co za fałszywe słowa szalonej dumy! A zatem ci, o których tak się wyrażacie, istnieją i żyją w państwie, bez środków do istnienia i życia? Gdyż jeżeli te środki posiadają, to mają zarazem coś do stracenia lub do zachowania. Tak, gruba odzież, którą noszę, skromne mieszkanie, w którem nabyłem prawo szukać schronienia i żyć mogę w spokoju, niewielki zarobek, z którego utrzymuję żonę i dzieci — to wszystko nie są ani dobra, ani zamki, ani pojazdy, to wszystko w oczach zbytku i bogactwa jest może n i c z e m, ale jest czemś dla ludzkości, jest uświęconą własnością, również świętą, jak wspaniałe posiadłości bogaczy. Co mówię! Czyż moja wolność, moje życie, prawo żądania bezpieczeństwa dla mej osoby i mego życia, prawo stawiania oporu wszelkiemu uciskowi i swobodnego rozwoju wszystkich przymiotów mej duszy i serca — czyż te dobra, najważniejsze ze wszystkich, któremi natura obdarzyła człowieka, nie są tak samo powierzone pieczy ustaw, jak wasze majątki? I twierdzicie, że ja nie mam żadnego interesu w utrzymaniu tych ustaw i chcecie mię wyzuć z prawa do udziału w zarządzie sprawami publicznemi na tej tylko wyłącznie podstawie, iż jesteście odemnie bogatsi? Jeżeli szale wagi nie mają trzymać się na równi, to czyż nie powinnyby one raczej przechylić się na stronę

obywateli mniej zamożnych? Czyż ustawy i urzędy publiczne nie na to istnieją, aby bronić słabszych przed krzywdą i uciskiem? Oddając te ustawy i urzędy całkowicie w ręce bogaczy, obrażamy najelementarniejsze zasady życia społecznego.

Ale bogacze i możni sądzą inaczej i zapomocą szczególnej gry słów ogólne pojęcie własności ograniczyli do pewnych tylko przedmiotów. Siebie tylko wyłącznie właścicielami nazywając, twierdzą, iż jedynie właściciele godni są miana obywateli. Swój interes prywatny nazwali oni interesem publicznym i chcąc sobie zapewnić powodzenie, w swe ręce chwycili władzę państwową.

A my, o słabości ludzka! my, którzy pragniemy kierować się zasadami równości i sprawiedliwości, chcemy, sami sobie z tego nie zdając sprawy, oprzeć naszą konstytucję na podobnych niedorzecznych i okrutnych przesądach!

C. d. n.

# OGNIWA.

Przez

**Elizę Orzeszkową.**

(Ciąg dalszy.)

Żyd obiema dłońmi uderzył o kolana i z frasunkiem zawołał:

— Oj, po co jasny pan ją zna? Jej lepiej nie znać! Nu, ale kiedy my obydwa ją znamy, to już ja nie będę jaśnie panu o mojej familji opowiadać. Oni porządne ludzie, i poczciwe ludzie, i niektóre nawet edukowane i bogate, ale oni nie moje... oni swoje i świata, nie moje...

Miał kilka córek, ale jedna tylko nie przestała należeć do niego. Kochała go i pielęgnowała, była światłem i rozkoszą jego oczu; ale dawno już jej nie widział i nigdy już nie zobaczy. Spotkały ją w handlu niepowodzenia i nieszczęścia. Z mężem i dziećmi wyjechała do Ameryki, aby szukać lepszego losu... Miewa niekiedy listy od niej, ale co to listy? On jej nigdy już nie zobaczy i jest to taki wielki smutek, który można znieść spokojnie i cierpliwie tylko dlatego, że on z Boskiej ręki pochodzi. Co robić?

Źrenice jego, o których hrabia mówił, że były niegdyś błękitne, jak turkusy, teraz szare i zamglone, pod czerwoną powieką zaświeciły łzami. Lecz wkrótce otrząsł się ze wzruszenia i wywdzięczając się za życzliwe pytania, przemówił nieśmiało:

— Niech jasny pan nie rozgniewa się, że ja zapytam o siostrę jaśnie pana, o tę jasną panienkę hrabiankę, co kiedyś mnie, biednego żydka na obrazie malowała. Aj, jaka to była śliczna panienka! Ja ją pamiętam. Czemu ja nie mam jej pamiętać, kiedy ja takiej ślicznej panienki nigdy już potem nie widział? To był anioł. Ona była taka piękna, i taka dobra, i taka sobie cicha i delikatna, jak anioł! Ja pamiętam, że jaśnie pan żył z nią w wielkiej przyjaźni. Czemu ja nie mam tego pamiętać, kiedy ja potem takiej przyjaźni już nigdy nie widział! Czy ona żyje? Gdzie ona żyje? Co ona robi? Czy jej dobrze powodzi się?

Po chwili milczenia, ze wzrokiem utkwionym w podłogę, hrabia odpowiedział:

— Miałem trzy siostry, ale z tą, o którą pytasz, kochaliśmy się najwięcej. Żyje, powodzi się jej dobrze, ale dawno jej nie widziałem i może nigdy już nie zobaczę. Wyszła za anglika, mieszka w Anglji; nie przyjeżdża tu nigdy, a mnie, bliskiemu podróży największej, trudno już puszczać się choćby w niewielką... Ona dla mnie umarła, chociaż żyje... Cóż robić?

Żyd słuchał uważnie i głową trząsł smutnie.

— Jasny pan ma taki smutek, jak i ja. I jasny pan prawdziwą rzecz powiedział: ona umarła, choć żyje! Ja tak samo o swojej Małce myślę. Ja myślę, że ludzie różnie umierają: jedne przez chorobę, drugie przez oddalenie, trzecie przez to, że odmieniają się, czwarte... Ale po co ja to jasnemu panu gadam, kiedy jasny pan sam wie...

Machnął ręką i zamilkł, a hrabia, ciągle wpatrując się w podłogę, krótko odpowiedział:

— Wiem.

Obaj umilkli, a dokoła zegary mówiły szmerem nieustannym: tak-tak, tak-to-tak, tak-to-tak, tak-tak, aż nagle wytrysnął ze szmeru głos donośny, na całą izbę wołając: ku-ku! ku-ku!

Hrabia wstał i zbliżywszy się do zegara stanął przed nim. Futro miał rozpięte, bo mu się gorąco zrobiło w dusznej izbie i na oczach swoje już okulary w złotej oprawie.

Z głową podniesioną długo patrzał przez te okulary na zegar staroświecki, aż przemówił:

— Ile żądałbyś za ten zegar?

Żyd, siedzący przy stole, głowę podniósł i uśmiechając się odpowiedział:

— Co ja mam za niego żądać? ja za niego nic nie żądam.

— Jakto, przecież handlujesz zegarami?

— Jasny pan powiedział prawdę. Ja zegarami handluję, ale ten zegar do handlu nie należy.

Hrabia ze zdziwieniem obrócił się ku niemu.

— Dlaczego? To przedmiot mający cenę znaczną. Sam nabyłbym go chętnie.

Żyd wstrząsnął głową potakująco.

— Ja wiem, że to jest drogi zegarek i że jabym za niego dostał dobrą cenę, ale ja jego nie sprzedam. Czy jasny pan słyszał kiedy, żeby przyjaciel sprzedawał przyjaciela?

Hrabia patrzał na mówiącego prawie z osłupieniem.

— Czy być może? — zawołał — nie jesteś przecie bogaczem i jesteś żydem, a żydzi tylko grosz cenią!

Żyd z cicha odpowiedział:

— Jasny pan ma omyłkę.

A hrabia trochę ze śmiechem mówił:

— Jakąż ja mam omyłkę? Co ty tak wysoko cenisz w tym zegarku, że sprzedać go nie chcesz. Masz przecie tyle innych! Przez cóż ten może być dla ciebie takim ważnym, czy drogim?

Był tak zaciekawiony, czy zdziwiony, że usiadł znowu przy stole, na krześle z materacem wklęsłym i poręczą nadłamaną.

Żyd zaś powoli mówić zaczął:

— Jeżeli jasny pan posłucha mego gadania, to ja wszystko opowiem. Prędko już będzie czterdzieści lat, jak ja ten zegar mam. Ja jego za tanie pieniądze kupił i dlatego kupił, żeby za większe sprzedać. Ale wtenczas mój Mosze, który teraz kupcem jest i wielkie interesy ze zbożem prowadzi, był takim małym chłopcem, co do chederu chodził, ja jeszcze więcej synów nie miał, bardzo lękał się, że Pan Bóg mnie więcej nie da, i bardzo jego kochał. Aj, jakie to było dziecko, ten mój Mosze! Zeby jasny pan jego znał, to sam dziwiłby się, że takie dziecko na świecie może być. A kiedy ja ten zegar kupił, to tego samego dnia mój Mosze powrócił z chederu taki słaby, taki smutny i taki mizerny, że mnie strach wziął, żeby on nie zachorował i żeby mnie Pan Bóg tego jedynego syna nie odebrał. Przyszedł mój Mosze z chederu, siadł w kącie, jeść nie chce, na ziemię tylko patrzy i mówi, że jego głowa bardzo boli i że on w chederze bardzo zmęczył się, że mełamed bardzo srogi i że on żyć już nie chce. Aj, aj! żeby takie dziecko żyć nie chciało! to jest dziwne, to jest straszne i to jest wielki grzech! Kiedy on to powiedział, ja za głowę chwycił się i jego matka za głowę chwyciła się, a jego siostry zaczęły płakać od tego, że Mosze żyć nie chce i że my siedzim trzymając się za głowy i kiwając się z wielkiego żalu. Wtenczas raptem ten zegar zakukał. A była wtedy godzina dziesiąta, to on długo kukał, aż dziesięć razy. Za pierwszym razem Mosze podniósł głowę i zdziwił się, za drugim on już nie na ziemię patrzał, ale na niego, za trzecim razem oczy u niego zaświeciły i on krzyknął: »Aj, aj! tate, co to jest? skąd ty to wziął?« I zaczął śmiać się do zegara tak, jak nieprzymierzając człowiek, co jego długo w ciemności trzymają, śmieje się, kiedy zobaczy słońce. Ja bardzo był kontent, że on śmieje się, skoczył na stołek i tę sprężynkę, co jasny pan wie, przycisnął, a jak ja ją przycisnął, to z zegara wyskoczył ptak i zaczął skrzydłami łomotać i jeszcze mocniej kukać. Nu, jak on tego ptaka zobaczył, ten mój Mosze, to on już całkiem z kąta wyleciał, starszą siostrę obiema rękami porwał i zaczął z nią przed zegarem tańczyć, a jak on ze starszą siostrą tańczył, to i dwie młodsze, takie maleńkie, że ledwie od ziemi odrosły, schwyciły się za obie ręce i także zaczęły tańczyć. Oni nietylko tańczyli, ale z wielkiej radości, że takiego pięknego ptaka zobaczyli, śmiali się na całą izbę, a jak oni śmiali się, to i matka, co przy ogniu obiad gotowała, zaczęła śmiać się. Ja ze stołka nie złaził i patrzał, jak oni wszyscy tańczyli i śmiali się. Ptak kukał, a ja przy tym zegarze na stołku stojąc, w myślach Panu Bogu dziękował, że Mosze już nie chory i żyć już chce, i że w moim domu taki wielki smutek przemienił się w taką wielką wesołość... C. d. n.

# Z DZIEJÓW OŚWIATY LUDOWEJ

## w Anglji.

(Dokończenie).

Olbrzymia bowiem większość słuchaczy kursów *University extension* składa się z osób, nie mogących poświęcić nietylko 3-ch lat, ale nawet ani jednego roku stałym studjom w uniwersytecie. Jako sankcja »moralna« jednak ze strony uniwersytetów Anglji ma to prawo »afiljacji« wielkie znaczenie.

Pozostaje nam pomówić jeszcze o wspomnianych już pobieżnie letnich mityngach, t. j. zjazdach słuchaczy podczas wakacji uniwersyteckich w murach starych uniwersytetów Anglji: w Oxford i Cambridge. Historja tych zjazdów wiąże się również z nazwiskiem profesora Stuarta, tyle zasłużonego dla całego tego ruchu. Już w r. 1884 podniósł on myśl wycieczek słuchaczy kursów *University extension* do starych uniwersytetów. Zjazdy na większą skalę zaczęły się jednak dopiero w r. 1888 i to w uniwersytecie oxfordzkim, gdzie na pierwszy zjazd w sierpniu 1888 r. zgromadziło się 900 studentów. Ze względów finansowych pobyt ich trwał tylko 10 dni. W ciągu tego czasu w godzinach rannych odbywały się krótkie kursa, złożone z 3—6 odczytów, wieczorami słuchano przemówień znakomitych uczonych, z dziedziny literatury i nauk ścisłych. Skorzystano też z okoliczności i odbywano posiedzenia, dotyczące administracyjnych spraw kursów, możliwych ulepszeń i t. d. Jedno-

głośnie też uznano, że wiele nowych centrów zawdzięczało swe powstanie temu pierwszemu mityngowi. Na drugim zjeździe, w roku następnym znalazło się już około 150 studentów, którzy przepędzili w Oxfordzie cały miesiąc, reszta przebyła tylko dni 10. Uniwersytet w Cambridge dotrzymuje pod tym względem kroku Oxfordzkiemu z tą jednak różnicą, iż usiłuje przyciągnąć latem w swe mury tylko gorliwszych studentów, dając im możność uzupełnienia teoretycznych wiadomości praktycznemi zajęciami w laboratorjach i muzeach. Doniosłość takich zjazdów, podczas których uniwersytet przygarnia w swych murach »swych — jak powiada cytowany już Roberts — dalekich synów i córki i umacnia swój z nimi stosunek, musi dla nich być z pewnością źródłem natchnienia i siły. Wiele jeszcze pozostaje do zrobienia, ale linje wytyczne postępu zdają się być już nakreślone i trudno przewidzieć do jakich rozmiarów i użyteczności dojdzie ten ruch, zadzierzgający coraz ściślejsze węzły między uniwersytetem i ludem«.

Tymczasem, poważną przeszkodę stanowią koszta, które przy dziesięciodniowym pobycie, wraz z podróżą wynoszą około 60 złr., na cały miesiąc około 120 złr. Dla biedniejszych studentów to szkopuł nie do zwalczenia. Nieliczne stypendja, przeznaczone na ten cel przez osoby prywatne lub robotnicze stowarzyszenia spółdzielcze i rozdawane na podstawie specjalnych konkursów, słabą okazują w tym względzie pomoc. Warto tu zaznaczyć, że w r. 1889 dziewięć stypendjów otrzymały następujące osoby: dwaj cieśle, dwaj subjekci handlowi, jeden robotnik tkacki, jeden robotnik z warstatów okrętowych, trzej nauczyciele ludowi. Pierwsze stypendjum, z przeznaczeniem dla robotnika-górnika, ofiarowała w imieniu swego ojca, »wielkiego starca«, panna Gladstone. Bądź co bądź, zjazdy te wielką oddają usługę tak samym słuchaczom, wprowadzając ich, często ludzi pracy od hebla i młota, w poważną atmosferę nauki uniwersyteckiej, jak również i całej sprawie *University extension*, jako dzielny środek agitacji i propagandy.

Do skonsolidowania całego ruchu wielce przyczyniły się niektóre inne czynniki. W ich rzędzie najpierw wymienić należy federacje okręgowe centrów, obejmujące jedno lub kilka hrabstw. Łatwo zrozumieć, jak to łączenie się w federacje ułatwia powstawanie nowych centrów w granicach danego okręgu.

Drugim czynnikiem jest prasa, specjalnie omawianemu ruchowi poświęcona. Początek jej datuje się od roku 1890; obecnie egzystują już trzy pisma.

Za trzeci z rzędu czynnik uważać należy względnie szybkie wytworzenie korpusu specjalnych profesorów, którzy już w r. 1890 założyli własne stowarzyszenie. Zbliżając do siebie profesorów, nadaje ono mimowoli całemu ruchowi jednostajne piętno, umożliwia profesorom przystosowanie się do zmiennych wymagań tego, — bądź co bądź — jeszcze nowego i rozwijającego się systemu oświaty. Stowarzyszenia owe przyczyniają się również do rozbudzenia wśród profesorów tak pożądanego pod niejednym względem ducha korporacyjnego, który wśród studentów rozwija się coraz bardziej pod wpływem letnich zjazdów.

Kwestja przygotowania specjalnego korpusu profesorów jest oczywiście jedną z najistotniejszych zadań instytucji, kierujących całym ruchem *University extension*. Łatwo zrozumieć, iż nie każdy profesor uniwersytecki byłby odpowiednim lektorem na kursach. Nie mówiąc już o zdrowiu fizycznem, niezbędnem przy ciągłych podróżach, potrzeba jeszcze specjalnego uzdolnienia do wykładu przed audytorjum różnorodnem, z rozmaitym stopniem przygotowania. Niejednokrotnie trzeba to audytorjum przekonywać o ważności przedmiotu wykładu, po części rozbudzić w niem interes do wiedzy w ogóle. Potrzeba wiele taktu i wyrozumiałości, aby ośmielić słuchaczy do żądania od profesorów wyjaśnień w kwestjach wątpliwych i trudnych. Potrzeba dalej płynnej i przekonywującej wymowy i t. d. Toteż na rozmaitych zgromadzeniach, w pismach, na kongresach, zajmujących się sprawami kursów, zawsze jeden z najważniejszych punktów obrad stanowi kwestja lektorów. Tak n. p. na kongresie, który się odbył w czerwcu 1894 r. w Londynie pod prezydencją kanclerzy uniwersytetów w Oxford i Cambridge i zgromadził około 700 delegatów (nawet z kolonji angielskich i Ameryki) oraz członków parlamentu i biskupów, zajmowano się gruntownie sprawą odpowiedniego przygotowania lektorów. Zgromadzenie nie powzięło jednak żadnych pozytywnych uchwał. Jakość bowiem personalu nauczycielskiego zależy w znacznej mierze, tak samo jak dalszy rozwój całego systemu *University extension*, od współdziałania trzech następujących czynników: od uniwersytetów, lokalnych organizacji i państwa. Tylko uniwersytety mogą dostarczyć najlepszych nauczycieli, kierować organizacyjną stroną całego przedsięwzięcia, swą sympatją wzbudzać w słuchaczach zamiłowanie do studjów i stwierdzać ich postępy zapomocą szczegółowych i dobrze obmyślonych egzaminów. Rzeczą jest lokalnych organizacji, działając w harmonji z uniwersytetami, przystosować system do różnolitych potrzeb miejscowych. Nakoniec, państwo, dając swą aprobatę, podniesie powagę systemu w oczach narodu, co niewątpliwie przyciągnie doń najlepsze siły nauczycielskie, zwłaszcza, jeżeli państwo nie odmówi kursom zasłużonego finansowego poparcia. Cała pomoc państwowa dałaby się — zdaniem osób dobrze rzecz znających — tak urządzić, iż nie osłabiłaby w niczem energji ani też nie ograniczyła wolności indywidualnych usiłowań.

Zanim zakończymy szkic nasz, pozwolimy sobie podać czytelnikowi kilka dat statystycznych,

uzupełniających ogólny obraz *University extension* w Anglji, który powyżej nakreśliliśmy.

W centrach, założonych przez uniwersytet w Cambridge, znajdujemy słuchaczy w r. 1873 — 3.200, 1883 7878, 1890 — 11.301; kursów w r. 1873 około 20, 1883 — 63, 1890 — 119; złożyło egzamin w r. 1873 — 368, 1883 — 906, 1890 — 1585 osób.

W centrach londyńskich znajdujemy słuchaczy w r. 1876/77 — 361, 1886/87 — 5345, 1892/93 — 13.374; kursów w r. 1876/77 — 16, 1886/87 — 62, 1892/93 — 139; złożyło egzamin w r. 1886/87 — 547, 1892/93 — 1355 osób.

W centrach oxfordzkich znajdujemy słuchaczy w r. 1886/87 — 9908, 1889/90 — 17.904; kursów w r. 1886/87 — 67, 1889/90 — 148; złożyło egzamin w r. 1886/87 — 829, 1889/90 — 927 osób.

Całokształt tych cyfr (dotyczący wszystkich centrów) przedstawia się za r. 1890 następująco: ilość centrów około 200 (z nich 42 w Londynie); ilość kursów 377 (przeciętnie kurs po 9 wykładów); ilość słuchaczów 42.312; ilość złożonych egzaminów 3927.

Budżet centrów londyńskich w r. 1892/93 wynosił z górą 54.000 złr. Największą rubrykę wydatków stanowiły płace profesorów i egzaminatorów, mianowicie około 40.000 złr., z których $^{7}/_{8}$ pokrywa się z dochodów, płynących od słuchaczów. W jednem z dzieł cytowanych wyżej, roczny koszt utrzymania wszystkich centrów (cyfry z r. 1890/91) oceniony jest na blisko *230.000 złr.*

Jak już wzmiankowaliśmy wyżej, za przykładem Anglji poszły już inne kraje. W Belgji w r. 1893 za inicjatywą prof. Leona Leclerc'a pewna liczba młodych profesorów i studentów wolnego uniwersytetu m. Brukselli założyła towarzystwo *Extension universitaire de Bruxelles*. Utworzono biuro centralne i lokalne komitety i postanowiono, iż w charakterze lektorów dopuszczone zostaną tylko osoby, wykładające w uniwersytecie. Cała organizacja naśladuje angielskie *University extension* z tą jednak różnicą, iż słuchacze nie odrabiają zadań pisemnych.

Pomimo opozycji klerykałów i innych trudności, ruch zdaje się rozwijać. W r. 1893/94 Bruksela urządziła 12 kursów po miastach prowincjonalnych: w Malines, Antwerpji, Charleroi, Mons, Hasselt i innych. Uniwersytet w Leodjum poszedł za wzorem brukselskiego i delegował ze swego grona 12 profesorów dla wykładów w obrębie gminy Leodjum. W ogólności w Belgji przeważają kursa z dziedziny medycyny, hygjeny i socjologji. Obok tego mamy wykłady dla nauczycieli ludowych (z fachowym odcieniem) i dla kobiet (z dziedziny gospodarstwa domowego).

W Stanach Zjednoczonych Ameryki półn. *University extension* rozwija się na wielką skalę. Amerykanie wiele skorzystali z doświadczenia, zdobytego na tem polu przez Anglję, ale również wiele zrobiła ich energja i brak przesądów, z którymi, bądź co bądź, angielskim pracownikom walczyć było trzeba. Jedna z wiele obiecujących na przyszłość innowacji w systemie *University extension*, mianowicie owe letnie zjazdy w murach uniwersytetów — to pomysł amerykański. »Myśl wprowadzenia uniwersytetów dla ludu zawdzięczamy Anglji — czytamy w pracy Mackinder'a i Sadler'a — ale pomysł letnich zgromadzeń ludowych w obrębie uniwersytetu jest pochodzenia amerykańskiego. Są to dwie najbardziej zasadnicze cechy systemu *University extension* w obecnej jego postaci«. Mówiąc o letnim uniwersytecie amerykańskim, mamy na myśli uniwersytet w Chautauqua (stan New-Jork), o którym czytelnik znajdzie krótką notatkę w roczniku »Tygodnia« za r. 1894. W niektórych stanach Ameryki udało się towarzystwom zawiązanym dla szerzenia nowego systemu oświaty uzyskać fundusze rządowe. Tak n. p. w stanie New-Jork uzyskano subwencję w wysokości 10.000 dolarów. Świeżej daty uniwersytet w Chicago już przy swem powstaniu zamierzył na szeroką skalę prowadzić pracę w kierunku *University extension*.

Wszędy jednak, gdzie system ten znajduje zastosowanie, przyświeca mu jedna i ta sama myśl przewodnia, mianowicie: że należy masom ludowym umożliwić zdobycie prawdziwej wiedzy, w tym stopniu, jaki osiągnięto w studjum uniwersyteckiem i nie poprzestając na podaniu faktów danej nauki, wdrożyć słuchaczów do używania umiejętnej metody badania; że zadanie to ciąży na uniwersytetach i ich profesorach, którzy stać się powinni żywem źródłem wiedzy dla całego narodu, prawdziwie narodowymi krzewicielami oświaty w najlepszem tego słowa znaczeniu.

*p.*

# Z bieżącej literatury.

(»Kres«, powieść współczesna A. Krechowieckiego. — »Sam na sam«, nowele i szkice Zygmunta Niedźwieckiego. — »Perepietyha, kniahini na Ukrainie«, napisał Szczęsny Morawski. — »Wybór nowel i opowiadań«, Bibljoteka dla młodzieży t. 12, wydał Henryk Kopia).

(Dokończenie)

Na zakończenie pozostawiliśmy sobie książkę, przez treść należącą do beletrystyki, ale ze względu na przeznaczenie ściśle pedagogiczną, mianowicie »Wybór nowel i opowiadań najznakomitszych współczesnych pisarzy polskich«, które p. Henryk Kopia wydał jako XII. tomik

»Bibljoteki dla młodzieży«, wychodzącej nakładem »Towarzystwa nauczycieli szkół wyższych«. Myśl książeczki dobra a nawet bardzo dobra, bo po pierwsze nie widzimy powodu dlaczego trwać nadal w dotychczasowym systemie trzymania młodzieży zdala od najnowszej beletrystyki, w której niezaprzeczenie wiele prawdziwych skarbów się znajduje. Zresztą owo powstrzymanie na nic się nie przyda, młodzież wobec zakazów potajemnie czyta powieści i nowele, a skoro tak, lepiej już otwarcie podać jej tę strawę duchową, a przy tej sposobności baczyć, aby była zdrowa, uczynić ją zrozumiałą i na niej nauczyć, jak w dalszem samodzielnem już czytaniu młodzież ma utwory beletrystyczne rozumieć i oceniać. Otóż ze względu, że książka zawiera »strawę zdrową« przeciw autorom i utworom, składającym tomik, żadnego zarzutu nie uczynimy. Co innego jednak jeśli kwestję postawimy w ten sposób: czy uwzględniono istotnie wszystkich »najznakomitszych« autorów, czy z tych, których uwzględniono, wzięto nowele najlepsze i najstosowniejsze? Na te dwa pytania odpowiedź musi wypaść przecząco. Bo skoro do »najznakomitszych« policzyło się i Gawalewicza i Kosiakiewicza i Rodziewiczównę, jakżeż można było n. p. pominąć taką prawdziwą potęgę literacką jak Jeż, a zanim cały szereg autorów dawniejszej i nowszej daty, o wiele lepszych od trzech wymienionych młodych pisarzów? Z pomiędzy zaś dzieł jedenastu nowelistów, których nazwiska wymieniono w tym tomiku, tylko wybór »Konfederata« Zacharjasiewicza, »Łaciarza« Junoszy i »Południcy« Rodziewiczównej, wreszcie może »Naszej trójki« Gawalewicza wydaje nam się trafnym zupełnie. Natomiast co do innych autorów to odnosimy wrażenie jakby wydawca kierował się ślepym trafem, brał nowelę pierwszą lepszą z brzegu, powodując się nie jej wartością ani znaczeniem, ale co najwyżej — objętością drukarską. Najgorzej wyszli książęta ostatniego pokolenia naszych powieściopisarzy: Sienkiewicz, Prus i Orzeszkowa. Tak jakby się autor silił, aby z nich wybrać co najsłabszego i nic nie znaczącego, utwory, powstałe w okresie osłabienia twórczości. Ani z jednodniówkowej przypowieści »Z greckich podań« nikt nie poweźmie wyobrażenia o Orzeszkowej, ani z stylistycznego popisu »Bądź błogosławiona« o Sienkiewiczu, ani też z fejletonowego żartu »W górach« o Prusie. Na chybił trafił można wymienić po kilka nieskończenie lepszych i stosowniejszych nowel tych autorów. N. p. Orzeszkowej »A B C«, albo »Daj kwiatek«; Sienkiewicza »Latarnik«, »Z wspomnień poznańskiego nauczyciela« lub »Janko muzykant«; z Prusa »Antek«, »Michałko«, »Sieroca dola«, »Katarynka«, »Latarnik« lub »Sen«.

Książkę zaopatrzono wstępem, zawierającym życiorysy owych jedenastu autorów, a również nie pozostającym bez zarzutu. Zamiast podać jak najwięcej pozytywnych a objektywnych danych o tych pisarzach, a swobodę ostatecznego sądu pozostawić uczniom i ich profesorom literatury, wydawca zabawił się w przestarzałe rozdawanie patentów ogólnikowych na rozmaite przymioty powieściopisarskie, w klasyfikację talentów, która nietylko że może mieć subjektywne jedynie znaczenie, ale prowadzi wprost do fałszywej oceny autorów. N. p. tak efemerycznemu talentowi jak Rodziewiczówna dostały się dytyrambiczne niemal pochwały, wydawca bowiem o niej mówi, że »powieści jej odznaczają się świeżością pomysłów, śmiałym rysunkiem postaci, zapałem, energją w prowadzeniu akcji a przytem humorem«, co wszystko prócz »zapału« i »energji w prowadzeniu akcji« jest przecież z gruntu nieprawdą! Natomiast o Orzeszkowej znajdujemy krótszą niż o Rodziewiczównej wzmiankę i to nad wyraz chłodną, a Prusowi dostał się nawet przycinek ostry a niepotrzebny i niezasłużony. Szkoda istotnie, że daty do »Wstępu« zaczerpnął wydawca z książki tak niejednolitej, niedokładnej i poza dziennikarstwem, małe mającej znaczenie naukowe, jak »Zarys literatury polskiej z ostatnich lat 20tu«, tembardziej zaś, iż istnieje już nowsze wydanie tej książki, obejmujące »ostatnich lat 30« a dociągnięte do chwil ostatnich. Co do objaśnień wreszcie, rozrzuconych w tekscie samym, to często bywają one niepotrzebne lub nawet fałszywe. Bo n. p. »Węgierką« nie nazywamy »Jutrzenki« czyli gwiazdy »Wenus«, ale słaby odblask »Zorzy południowej«, który przy pogodnem niebie od strony Węgier widzieć czasami można, a »krymką« nie »czapkę z krymskich baranków«, bo przecież na taką ubogi »Łaciarz« zdobyć by się nie mógł, ale po prostu jarmułkę.

»Takie są grzechy mojego żywota«, mógłby powiedzieć »Wybór nowel i opowiadań«, gdyby był obdarzony mową, ponieważ jednak mimo wad wydania, jak to na początku zaznaczyliśmy, nowele, składające się nań, dają zdrowy pokarm duchowy, pożądanym będzie nabytkiem dla bibljotek szkolnych.

## PRO MEMORIA.

25. czerwca 1848. Zawiązaną została przez Polaków, przebywających w Berlinie, »Liga Polska«.

26. czerwca 1818. Zmarł w Winnej Górce w W. Ks. Poznańskiem Jan Henryk Dąbrowski.

26. czerwca 1863. Paulin Bohdanowicz odniósł zwycięstwo pod Tryszkami.

26. czerwca 1863. Jan Siemaszko, 80-letni ksiądz unicki, został żywcem zakopany w Miropolu na Ukrainie. Umierając wołał: »Ja umieram, ale Polska żyć będzie!«

28. czerwca 1794. Lud warszawski powiesił w dalszym ciągu kilku zdrajców targowiczan.

28. czerwca 1846. Wolne miasto Kraków z obwodem wcielone zostało do Austrji.

28. czerwca 1862. W twierdzy Modlinie rozstrzelani zostali przez rząd moskiewski: Sliwicki, Arnholdt, Rotkowski, — zabity kijami Szczur.

30. czerwca 1869. Przestała istnieć w Warszawie Szkoła Główna z polskim wykładem.

Z drukarni Z. Golloba we Lwowie.